ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. Października | N.er 43. | Roku 1843.

ISOLA DE LENAR.

Pięknym jest kraj Basków i Bearnów, który się pieszczotnie do stóp Pirenejów przytula; piękną jest rzeka *Adour* i mrukliwe strugi, które swémi wody tę ziemię skrapiają; piękne są jéj głębokie doliny, wysokie góry, łagodnie wznoszące się wzgórza, łąki, pola, wodospady, kotliny wyżłobione prądem gwałtownych strumieni, piękne są spiętrzone skały, po nad któremi *Pic du midi* panuje; piękną jest ta ziemia urozmaicona uroczémi widoki, piękną swoim klimatem, płodami natury, i swoją ludnością, bogata w lasy, trzody, okwita rolnictwem— jestto ziemia błogosławiona! W tymto pięknym kraju widziano pod koniec panowania Ludwika XIV. wieżyce zamku *Rouille*, na którym nie było jeszcze śladu zgubnéj dłoni czasu. Wznosił się on na spaniałém wzgórzu, u stóp jego bieliła się miła wioseczka, po nad którą strzelnicami swémi, jak opiekuńczémi oczy, spoziérał na żyźną dolinę *Adour*, a wieżyce jego pozłocone zachodzącém słońcem, spoglądały nieraz jak zadumani mędrcy na potok wypadków, przemykający tamtémi strony. Widziały one dumnych władców potężnego Rzymu z berłem przemocy i nieukrócenéj swawoli; widziały dzikich Gallów, hołdowników barbarzyństwa; tamtémito strony ciągnęły zbrojne hordy z południa ku północy na wszystkie końce świata; często wracały z dumą i zwycięztwem na czole, często téż porażone, spuszczonémi w odwrót powiéwały chorągwiami. Pod murami tego zamku płynęła krew francuzka, wytoczona francuzkim orężem, byłato krew Hugenotów. — O czemuż mistrzu, co twoją kielnią wzniosłeś te mury, nie dałeś im pamięci, aby dały świadectwo o zaszłych w obliczu tych wieżyc wypadkach! — Od kilku wieków był zamek *Rouillé* z rozległémi obszarami ziemi i rozmaitémi prawami, własnością rodziny tegoż nazwiska. Mury te były niemémi świadkami czynów i życia posiadaczów tego zamku. Nieraz odbijały się o te sklepienia jęki niewolników, upadających pod chłostą niesprawiedliwie zadaną; ucisk i ciemięztwo pisały tu krwawym palcem swoje feudalne panowanie; na tyle widoków okrucieństwa, gwałtu i przemocy, stały te mury niewzruszone, jak kamienne serca ich właścicieli! Ileżto scen zgrozy i szkarady widziały te komnaty zamkowe! Żony ciemiężone od mężów, córki wleczone przemocą do ślubnych ołtarzów, upośledzeni synowie osadzeni w ciemnicach! Wilgotne pieczary lochów więziennych stérczały kośćmi ofiar dzikiego feudalizmu, z ich otchłani nie dolatywały jęki konających; prawo mocniejszego było świętsze nad — prawo ludzkości!

Jedyném hasłem owoczesnych możnych panów była: »Rozkosz.« Nie żyjąc po miastach, szukali rozmaitych rozrywek w swojém ustroniu. Łowy, życie rozwięzłe, dogodzenie pochutnéj dowolności tyranii, to były zasady ich życia. Jednakże późniéj, pochęta próżności i żądza błyszczenia, opanowała ich umysły, opuszczali swoje ponure zamki, aby świetnieć w Paryżu.

Dwór nadsekwański był podówczas tém promienném, ogrzéwającém słońcem, ku któremu wszystko lgnęło i w blasku jego się radowało. Szlachta z prowincyj opuszczała swoje dwory, wiekami omszone zamczyska, aby się pokazać i uzacnić na tym dworze zbytku i przepychu. Ale bogaci na prowincyi, byli ubogimi w stolicy, a wystawne

ich życie—aby innym wświetności sprostać, przywiodło ich wkrótce do zupełnego upadku; byłyto muszki, które lecąc ku światłu, potraciły skrzydełka! Niejeden spaniały, starożytny zamek z licznymi lennikami przeszedł do rodziny żadnych herbów nie mającej, a jego mieszkańcy, potomkowie znakomitego imienia, musieli rzucać się w świat i szukać służby bądź krajowéj bądź żołniérskiéj dla utrzymania jakkolwiek życia swego.

Rodzina Rouillé tegoż samego doznała losu.

Ostatni potomek téj rodziny, margrabia Menard de Rouillé, od ludzi i losu zepsute dziecko, lubiący używać świata, miał wtedy lat 24, gdy pojął za małżonkę najpiękniejszą dziewicę z całéj okolicy. Bratem jego mlécznym i towarzyszem igraszek dziecinnych był Antoni Cassandre, któremu oddał cały zarząd swojego majątku. Wierność jego i przywiązanie do swego władcy była wielo-licznémi dowodami ugruntowana. Gdy w rozkoszach wypieszczonemu Menardowi groziło jakie niebezpieczeństwo, zasłaniał go Cassandre swojém silném ramieniem, i niejednę w obronie jego, odniósł porażkę. Był on jednym z tych silnych, w siebie zwiniętych charakterów, które równie w miłości jak i nienawiści, nie próżném słowem, ale samym czynem i energiją się odznaczają.

Cassandre pochodził z nizkiego urodzenia, był Bearneńczykiem, a Bearneńczyk różni się bardzo od Baskończyka. Ten mierzy wszystko oczyma, tamten podług stopy i cala; Baskończyk lubi przestronne pomieszkanie, światło, powietrze; Bearneńczyk umié i w ciasnym zakącie utrzymać porządek; Baskończyk spuszcza się ociężale na samego siebie, na naturę i twórcę natury, i na to, co jest dzisiaj; Bearneńczyk zaś myśli o przyszłości, a rok przyszły jest u niego dniem jutrzejszym. Baskończyk marzy, Bearneńczyk liczy, to mu z oczów wyczytać można. Bearneńczyk jest odważnym i roztropnym, ale to czyni z dumy jedynie, nie chce on, aby kto przewyższył go w tych zaletach. Baskończyk zaś jest przez rodzinną pochętę zarówno odważnym na pustyni, w najsamotniejszym zakątku, jak w obliczu całego świata. On nie chełpi się bynajmniéj swoją odwagą, równie jak i swoją brodą.— Cassandre był więc Bearneńczykiem, a jego żona z prowincyi Basków; wstępując w progi swojego małżonka, była w samym kwiecie wieku, zachwycała urodą i zdrowiem. W kilka dni po ślubie z Cassandrem, przedstawiła się młodemu panu i małżonce jego.

Eliza była córką bogatego licznych trzód posiadacza; piękne rysy jéj twarzy zajmowały swoim wyrazem, a jéj ciemno-ogniste oczy wskazywały na jéj kolébkę po tamtéj stronie Pirenejów. Jędrna piękność małżonki Cassandra, odbijała od mdłych wdzięków pani margrabiny, która była blondynką i płci pieściwéj. Margrabia zdawał się z zajęciem postrzegać to przeciwieństwo; jego oko spoczywało naprzemian to na jednéj, to na drugiéj twarzy. Często zabawiał się w kole domowém swego wiernego Cassandra, i nie jedna późna noc widziała go w towarzystwie pięknéj Elizy; Cassandre i jego małżonka byli uszczęśliwieni tak częstémi odwidzinami swojego władcy. Ale służba dworska mając oko bystrzejsze, szeptać zaczęła między sobą niejakie domysły, a margrabina miała często zapłakane oczy; jednakże mimo to wszystko, Cassandre był zawsze dla swojego pana uprzedzającym, a gdy mu Eliza powiła syna, zaprosił Menarda na chrzestnego ojca. Tenże przyjął zaprosiny chętnie i w znak swojéj uprzejméj łaski, dał dziecięciu na chrzcie swoje imię rodowe Menarda. Przezco Cassandre urósł na dwa łokcie.

W jakiś czas późniéj, odwidziła Eliza z małém dziecięciem na ręku panią margrabinę, lecz jakże się przestraszyła, gdy w synu margrabiny, którym taż niedawno była zległa, znalazła tak wielkie podobieństwo do swego dziecięcia, że gdyby nie koronki i wstążki przy sukience, miałaby je była za swoje własne. Czując się do winy, zakrywszy małego Menarda troskliwie przed wzrokiem margrabiny, wróciła do domu niespokojna, i odtąd starała się wynaleźć powód nie chowania go przy sobie. Jakoż wkrótce oddanym był w kraj Basków, gdzie pomiędzy tym silnym i dzielnym narodem chował się aż do owéj chwili, kiedy margrabstwo Rouillé, opuściwszy wraz z swoim potomkiem starożytny zamek, udali się do Paryża.

Wiedyto powrócił syn Cassandra w ojczyste progi, gdzie się oddawał dzikim zabawom i niebezpiecznym łowom po górach swojéj ojczyzny.

Cassandre został po odjeździe margrabiostwa nieograniczonym zarządcą zamku Rouillé.

Eliza powiła mu w tym czasie dwie córek, których margrabia w listach swoich do Cassandra, nie przepominał pozdrawiać, a to spokoju i zgody stadła małżeńskiego bynajmniéj nie miészało. Cassandre zdawał się nie mieć żadnego podejrzenia, kochał jak ojciec śmiałego i popędliwego Menarda, cieszył się jego odwagą i duchem przedsiębierczym, widział w nim zaród wszystkich przymiotów do odgrywania roli znakomitego szlachcica, dla tego starał się, jako dobry ojciec, zostawić mu majątek odpowiedny jego przyszłości, któryto zamysł mógł tém łatwiéj przywieść do skutku, że mu żona jego znaczny posag wniosła, który on już oszczędnością, już zyskownémi spekulacyjami, coraz bardziéj powiększał, gdy tymczasem margrabia Rouillé dochody swoje na uczty, festyny, łowy i gry hazardowne trwonił. Jedna część po drugiéj znikała dziedzictwa, a margrabia nieustannie nowych zasiłków żądał. Czyniąc zadość woli swego pana, sprzedawał rządca pola, lasy i folwarki, ale nie puszczał ich z rąk nikomu i nabywał je dla siebie. Nareszcie przyszło do tego, że cała majętność Rouillé została sprzedaną. Cassandre mimo całą rzetelność i prawość swoje, z jaką témi dobrami zarządzał, nie mógł zasłonić rozrzutnego pana od zupełnego ubóstwa, więc jako główny wierzyciel, dopłaciwszy nieznaczną sumę właścicielowi, objął dobra w posiadłość. Wprowadził się do zamku o dwóch wieżach i uposadnił na stopę magnata. Od téj chwili nie miał innéj myśli, jak aby swemu synowi dać wychowanie wyższego stanu, a sobie imię szlacheckiego rodu; jakoż po wielu zabiegach i wykrętach, otrzymał pozwolenie nosić przydomek: Cassandre de Rouillé.

Gdy się to dzieje, zmiéra margrabia Rouillé i jego małżonka, a dzieci ich jak tułacze rozpraszają się po świecie. Cassandre zapewniwszy swemu synowi majątek, zamyśla połączyć go z takim domem, któryby jego imieniu przydał świetności.

W pobliżu zamku Rouillé, w małym lecz schludnym i skromnym wiejskim domu, mieszkała wraz z swoją matką wdową, jedynaczka córka staro-dawnéj szlacheckiéj rodziny, 16-letnia piękna Izola de Lenar. Obie były w całéj okolicy w wielkiém poważaniu. Izola de Lenar nie miała wprawdzie żadnego majątku, ale bogacz Cassandre nie zważał na to bynajmniéj, on pragnął tylko połączyć się z domem znakomitym. Jakoż niebawem odbyły się zaręczyny, a po dwóch dopiéro latach, miało nastąpić wesele, gdyż oboje narzeczeni byli bardzo młodzi, a prócz tego, 18-letni Menard pragnął wprzód odbyć podróże, na co téż w nadziei, że daleka podróż ochłodzi jego namiętny charakter, ojciec chętnie przyzwolił.

Izola wychowana w klasztorze, żyjąca z matką w zaciszu, widziała w jéj woli wolę nieba. Młody Menard nie mógł się jéj także przeto nie podobać, że mówił z uniesieniem o jéj piękności, chociaż jego gwałtowność nieraz ją trwogą przejmowała. Nieraz powrócił on z swojéj podróży tak niespodzianie, że sama nie wiedziała, czy się miała cieszyć, czyli téż trwożyć tak nagłą jego obecnością.

Opodal od zamku, stała grupa drzew ocieniająca ławeczkę do siedzenia, którę Menard nazwał ławeczką Izoli. Tu była ulubiona schadzka kochanków, tu po krótkich chwilach gniewu, odbywała się nieraz śród pieszczot chwila pojednania, tu nakłaniała luba kaznodziéjka burzliwego Menarda do łagodności i uśmierzenia dzikich zapędów, tu marzyła często o przyszłém szczęściu swojém. Razu jednego idąc cieniem drzew olchowych po nad piękną rzéką *Adour* w myślach zatopiona, zaszła na owo czarowne miejsce, grupą owych drzew otoczone. Ocknąwszy się z lubéj zadumy, widzi na swojéj ławeczce siedzącego młodzieńca, który zdawał się nie zważać na jéj przybycie. Zdziwiona tém zjawiskiem Izola, skrada się, zagląda ciekawie przez gałęzie i widzi — Menarda, który podług jéj wiadomości, bawił w dalekiéj podróży, widzi Menarda, który smutny, łzami skrapiał swoje lice. Wzruszona głęboko tą tkliwością młodzieńca, w którego oczach do téj chwili nigdy łza nie postała, chcąc go czémprędzéj pocieszyć i w smutku ukoić, przystąpiła z lekka ku niemu, i przechyliwszy się po nad ramiona zasmuconego, rzekła anielskim głosem: »Menardzie! Pocóż te łzy? Twoja Izola przy tobie.« To rzekłszy, padła w jego ramiona.

Menard wpatrzył się w nią z podziwieniem, jak gdyby się z ciężkiego snu ocykał, lecz po chwili objął ją namiętnie, a okrywając ognistémi pocałunki, cisnął ją z uniesieniem do swojéj piersi. W płomienistych uściskach młodzieńca, przebijała się rozpacz szalona. Tą gwałtownością jego wylękniona dziewica, wyrywa mu się z ramion i uchodzi; on spieszy za nią, lecz za nadejściem ludzi, znika w krzakach, które brzég rzéki okrywały. W pierwszych tygodniach po tém niespodzianém zejściu się, gdy żadnéj o sobie nie daje wieści, Izola niepokojem dręczona, spieszy do jego rodziców, lecz i tam nie znajduje

spokoju dla swojéj duszy, Menard bowiem zwyczajem swoim nie lubiał dawać o sobie wieści przez listy; to nagle spadał jak kamień z nieba, to znowu znikał jak strzała. Jednego dnia przybywa nareszcie, i z uniesieniem piérwszéj miłości, wita swoję kochankę, a na jéj zarzuty: że przy ostniém z nią widzeniu się, tak mocno ją swoją gwałtownością przeraził, odpowiada płomienistémi pocałunkami w usprawiedliwienie swoje.

Menard miał już lat 21, a Izola 19. Miało się więc odbyć wesele. Jedno skrzydło zamku dla młodéj pary uprzątnięto, sprowadzono najnowsze meble z miasta, w całém urządzeniu połączono wygodę z wytwornością. A co najwięcéj starego Cassandra cieszyło, było to przekonanie, że mógł powiedzieć: »To wszystko zapłaciłem gotową, brzęczącą monetą.«

Zaślubiny miały się odbyć w kaplicy zamkowéj na wzór owych ślubów u starodawnéj szlacheckiéj rodziny Rouillé, dawniejszych właścicielów tego zamku, śród największéj wystawy. Izola ubrana w najcięższe jedwabie, miała zasłonę z prawdziwych, najdroższych bruxelskich koronek, jaką margrabina Noailles przysłoniętą była. Na jéj głowie błyszczały drogie, prawdziwe kamienie w różnych kolorach, takie same otrzymała była księżniczka la Valliere w podarku od króla. Stary Cassandre nie szczędził żadnych kosztów, aby przy tym uroczystym obrzędzie jak najgodniéj wystąpił. Chciał on przy téj okoliczności całą swoję możność okazać, a potém znowu żyć skromnie jak dawniéj. Chodziło mu tylko o pokazanie, że umié być godnym przedstawicielem szlacheckiéj znakomitości. — Ruszyły do ślubu powozy. Gdy Izola po-przed ową ławeczkę, powiernicę miłości kochankow, przejeżdżała, spostrzegła na niéj siedzącego Menarda, nie w stroju ślubnym, ale w bluzie wieśniaczéj, smutno zadumanego. »On zapewne duma o mnie, o swojéj narzeczonéj, o jéj przyszłém szczęściu...« pomyśliła sobie. I wychyliwszy się ku niemu z powozu, dała mu znak uprzejmie ręką. Menard porwał się z ławki, wyciągnął za pomykającym powozem ramiona, jak gdyby tym ruchem chciał konie w biegu zatrzymać, lecz powóz pomknął—i zniknął mu z oczu. — U progu świątyni, w stroju ślubnym, z bukietem weselnym u boku, Menard przyjął pannę młodę.

»Jako? Tak prędko i już w tym stroju mogłeś tu przybyć? Wszakżeś dopiéro siedział w cieniu drzew na owéj ławce naszéj?« zapytała go wysiadając z powozu zdziwiona panna młoda. Menard upewniał: że już od dni kilku nie był na owém miejscu. »Więc byłam zapewne w błędzie, oko mnie zwiodło«, odrzekła Izola w głębokie zapadając myśli.

»Tak się to dzieje, że to, co lubimy, zawsze się nam przewiduje«, ozwał się stary Cassandre z żałobliwym uśmiéchem. —

Od téj chwili upłynęło już trzy lata.—Pożycie małżeńskie Izoli z Menardem chociaż nie było szczęśliwe, jednakże było spokojne, co istotnie zawdzięczać należało łagodności i dobroci Izoli, bo Menard nie zawsze był kochania godnym mężem, lubiał rozrywki, chciał odgrywać rolę bogatego szlachcica, dawał festyny, na które okoliczną szlachtę spraszał, a która przez pogardę unikała blizkiéj z nim zażyłości. Obrażony w dumie swojéj, sam spełniał toasty, i winem rozgrzany, dawał całemu domowi uczuwać skutki gniewu swego, lub téż dnie całe bawiąc w kniei, nie dbał bynajmniéj o młodą małżonkę. Biédna Izola zdała się bez szemrania na wolę losu, jéj wzorowa cierpliwość zjednała jéj u sąsiedztwa powszechne uznanie rzadkiéj dobroci wyrozumiałéj małżonki, a całe koło rodzinne w nagrodę cierpień, otaczało ją serdeczną miłością. W pieszczotach z milutkiem chłopięciem, owocem związków małżeńskich, szukała zapomnienia pięknych marzeń swoich, jemu téż oddawała się z całą duszą, w niém zamykała wszelkie na przyszłość nadzieje, a gdy małżonek jéj, wyzwany za urazę, zraniwszy śmiertelnie przeciwnika w pojedynku, ucieczką zbawić się musiał, chętnie uległa potrzebie i przyzwoliła bez wielkiéj walki na to rozstanie, gdyż jéj dusza tylko dziécięciem zajęta była.

Przeciwnik z zadanéj mu rany wyzdrowiał wprawdzie, ale Menard jak ów kruk puszczony z arki, zamiłowawszy swobodę, nie wracał w ściany domowe, same tylko weksle z Paryża i Londynu nawidzały dom rodzicielski. Ojciec z początku nie bardzo grzeczne odpisywał listy, groził wydziedziczeniem, ale w końcu oświadczył, że żadnych weksli za niego wypłacać nie będzie. Wtedy zaginęła wszelka wieść o Menardzie. Ojciec różnémi myślami niepokojony, zasięgał wprawdzie wszędzie wiadomości, ale te były nader sprzeczne. Jedni utrzymywali, że popłynął do Ameryki, drudzy, że się udał do Polski. Nareszcie, zapisawszy swojéj synowéj część majątku po Menardzie, którego jako umarłego opłakiwał, umiéra stary Cassandre.

Odtąd z siostrami swego małżonka żyła Izola samotnie w starym zamku, gdyż jéj i Menarda matka, poszły także wkrótce do grobu. Ponura zamkowa cisza nabawiała strachem trzy samotne kobiety, echo kroków, jak rozmowa duchów rozlegająca się po długich krętych kurytarzach, nawodziła im na myśl dawne dziwaczne powieści

o zbójcach i upiorach, a dwie czarne, w niebo stérczące wieżyce zamkowe, zdawały im się jak dwie zaklęte postacie, wybawienia żebrzące! Aby zaludnić i cokolwiek rozweselić osamotniony zamek, wezwała Izola Jana Cassandre, brata zmarłego, który dzierzawą chodził, aby z niémi zamieszkał i zajął się zarządem majątku. Chociaż Jan Cassandre nie miał wychowania, i swojém nieokrzesaniem, odstręczał od siebie ugładzone towarzystwo, przecież uprzejma, łagodna Izola umiała tak wszystkiém zakiérować, że ją Jan Cassandre polubił i był jéj woli oddany.

Rok za rokiem mijał, a żadnéj wieści nie było o Menardzie. Wszyscy mieli go za umarłego. Cała rodzina namawiała Izolę, aby weszła w nowe związki małżeńskie: że będąc jeszcze młodą, może swoje szczęście ustalić; ale Izola pomna obowiązków, jakie miała dla swego dziécięcia, pozostała wdową, unikała wszelkich rozrywek, stroniła od towarzystwa mężczyzn tak dalece, że nawet zatruty oddech złego języka, nie mógł przyćmić czystego źwiérciadła jéj dobrego imienia.

Lubo powierzchownie okazywała twarz wesołą, jednak w głębi jéj duszy, zamieszkał robak, który toczył rdzeń jéj życia. Boleśnie ta myśl szarpała jéj duszę, że się widziała opuszczoną od męża, a jéj dziécię było sierotą. W sobie saméj chciała znaleźć przyczynę tego nieszczęścia, wmawiała w siebie, że jéj dusza była za słabą, aby mogła odpowiedzieć ognistemu umysłowi Menarda, że nie umiała zakląć w swojém kole tego burzliwego ducha, któremu za ciasno było w zamkowych murach jego dziedzictwa. To znowu te ciérpkie wyrzuty koiła tém spomnieniem, że była dla niego łagodną i wszystkie jego dziwactwa bez szemrania znosiła. Po chwili znowu odrywała myśl zatopioną w przeszłości, i zwracała ją w przyszłość, upatrując tam opiekuńczéj istoty, którąby młodémi krokami jéj syna kiérowała. Codziennie zwidzała wiejską kaplicę i zanosiła na kolanach modły do Boga; chciała łzami ulżyć boleści, która jéj serce raniła.

Dnia jednego, byłoto w niedzielę zrana, gdy po odbytém w kościółku nabożeństwie, udała się Izola z swoim synkiem do owéj grupy drzew, ocieniających ławeczkę, a gdy ciekawemu dziécięciu czyni zadość opowiadaniem o jego ojcu, spostrzega z dala tamże jakiegoś mężczyznę siedzącego. Krew zawrzała w jéj piersi! Podchodzi bliżéj i wpatruje się, drży i przeciéra oczy, i składa ręce jak do modlitwy; a gdy nieznajomy ku niéj twarz zwrócił, obejmuje z uniesieniem dziécię, i pada z wykrzykiem: »Henryku—oto twój ojciec!«

Gdy już z omdlenia przyszła do siebie, uczuła się silném ramieniem w pół ujętą. Byłto Menard. Ośm lat po świecie tułactwa, wyryły na nim wyraźne ślady; twarz od słońca ogorzała, broda gęstym włosem zarosła, blizna od cięcia na skroni, zmieniły go nie mało; zresztą byłyto te same rysy twarzy, jak przed laty. Bluza podróżna, gruby kostur w ręku i opylone obuwie, świadczyły, że z dalekiéj wraca podróży. W tryjumfie, śród nieustannych uniesień radości i powitań mieszkańców z okolicy, powracających właśnie z kościoła, którzy w tym podróżnym, swego dawnego pana poznali, wprowadziła go Izola do zamku, gdzie od wszystkich domowników i sióstr swoich najczuléj powitany, a nawet od stryja Jana Cassandre, który go znał jeszcze chłopięciem, szczérze i życzliwie przyjętym został. Wszystkich dziwiło nadzwyczajne podobieństwo syna do ojca. »Henryś jest wiernym odwzorem ojca«, mówiły siostry, powtarzały domownikí. Samotny dotąd zamek Rouillé zabrzmiał odgłosami wesołości, a w oczach Izoli jaśniała radość niewysłowiona!

Menard inną teraz przyniósł z sobą duszę; tylo-letnie doświadczenie przykrego losu, przeistoczyły go w innego człowieka; w domowém kole, przy boku Izoli, znajdował teraz prawdziwe, jedyne szczęście; nie ubiegał się więcéj za znajomością i towarzystwem okolicznéj szlachty; cała jego istota wyszlachetniała.

Opowiadał wiele o swoich przygodach: Walcząc na morzu przeciw korsarzom dostał się w ich ręce, długo jęczał w więzieniu, potém sprzedano go jako niewolnika do Algiéru, gdzie wyrabiając różne bawidełka z drzewa i różne tkaniny z jedwabiu, zebrał tyle pieniędzy, że się wykupił z niewoli. W wszystkich jego opowiadaniach przebijała się niewypowiedziana tęsknota do Izoli, o niéj ciągle myślał, do niéj nieustannie wzdychał. Menard zajął się także z całą gorliwością wychowaniem swojego syna. Wnet dom Menarda Rouillé był zbiorem okolicznéj szlachty, któréj teraz pozyskał życzliwość i przyjaźń. Izola ubóstwiała go, oddana mu z całą miłością. Siostry widząc szczęście obojga, radowały się z całego serca. Jeden tylko Jan Cassandre niechętny przybyciu Menarda, oświadczył, że się wydali dla szukania dzierzawy, lecz już trzy lata upłynęło, a on jeszcze swego zamiaru nie przyprowadził do skutku.

Pomimo wesołość, która w całym domu panowała, czoło Menarda bywało często zasępione! Jakaś myśl z przeszłości zdawała się sączyć gorycz do kielicha, który teraz szczęście do ust mu podawało. Bieluchna rączka Izoli wygładzała często te marszczki, które się na jego czole

zbiérały, i wtenczasto ciemne oko Menarda łzą zapływało, wtenczas tulił małżonkę w swoje ramiona i spokój wracał na jego czoło.

Pewnego wieczora w lecie, udali się oboje ku ławeczce Izoli. Właśnie zachodziło słońce zlewając całą okolicę purpurowemi farby. Długie cienie posłały się po ziemi, wszystkie przedmioty zaczęły ciemniejsze przywdziéwać szaty. Izola wstąpiła na ławkę, aby odłamać gałązkę lipowego kwiatu. Menard spojrzał na nią upojoném okiem, nigdy mu się tak piękną nie wydawała, promienie słoneczne przedziérające się przez liście, udziérgały w około jéj głowy, jakby koronę świętych. Potém siedli obok siebie, a mały Henryś biegając po łące płoszył drzémiące motyle z kwiatów. Upojeni szczęściem małżonkowie, taką zaczęli rozmowę:

»Izolo moja«, przemówił czule Menard, »jesteż ty szczęśliwą?«

»Jestem nią, bo kocham ciebie nad wszystko w świecie! Drżę na samę myśl utracenia ciebie! O, tak mój drogi, kocham cię więcéj, niż siebie samę, więcéj niż w piérwszych dniach naszego zamęźcia. Ty już przy mnie na zawsze pozostaniesz, nieprawdaż mój drogi, że mię już nigdy nie opuścisz?«

»O, bądź tego pewną, że cię dobrowolnie nigdy nie opuszczę, a gdyby mię do rozstanku z tobą przemocą zmuszano, wolę raczéj umrzéć, niż ciebie opuścić.«

»O, jakże mi drogiém jest to ustronie nasze«, zawołała Izola z czułością. »Tu przeżyłam najszczęśliwsze chwile życia, tu widziałam łzy w oczach mego burzliwego Menarda! Czy pamiętasz tę chwilę? Ach, dla mnie ona na zawsze pamiętną zostanie! Wtedyto poznałam twoję tkliwą, piękną duszę, i wtedy dopiéro prawdziwie pokochałam ciebie, gdyż—wyznać muszę—że zaślubiwszy cię, nie czułam wówczas miłości ku tobie. A kiedy przyszła ta chwila, żeś smutkiem obciążył serce moje, wtedy pocieszałam się tą myślą: on się odmieni, bo ma tkliwe serce, bo ma łzy w oczach! W jego piersi ozwie się tkliwa miłość znowu, a ja będę szczęśliwą! O, tak Menardzie, łzy twoje i ten słodki głos miłości, którymeś do mnie w owéj chwili na tém samém miejscu przemawiał, były mi rękojmią twojéj tkliwości i dobroci serca twego, one zapowiadały mi przyszłe szczęście moje!«

»Wiészże ty moja Izolo, że ciężka wina przygniata moję duszę«, rzekł Menard głosem smutnym i wzrokiem w ziemię wpatrzonym.

»Jako? Ty miałbyś nosić jaką winę w sercu twojém?« rzekła Izola zdziwiona, a potém dodała z uśmiéchem: »Któż z ludzi jest bez wszelkiéj winy? Wszakże łza w niedoli lub głos rozpaczy, już są także obrazą Boga. O, uspokój się mój drogi, jakakolwiek twoja wina, już ci jest odpuszczona.«

»A przecież myśl jedna, która jak sęp pożéra serce moje—cięży boleśnie sumieniu memu!... Tobie tylko jednéj mogę zwierzyć tę okropną tajemnicę.«

»O wylej przedemną twoję duszę, a bądź pewnym przebaczenia mego!«

Menard po długiéj walce z samym sobą, zwierzył jéj to, co mu duszę uciskało. Lecz zaledwie szepnął jéj do ucha słów kilka, Izola padła na ziemię, bladość okryła jéj lice, i zdawała się być blizka już śmierci.—Wylękniony tym wypadkiem Menard, wziął bezwładną na swoje ramiona, nacierał jéj skronie, i starał się ze łzami w oczach przywrócić ją do życia.

(Dokończenie nastąpi.)

SŁÓWKO DO ZIOMKÓW

O TYGODNIKU ROLNICZO-PRZEMYSŁOWYM.

(Nadesłane.)

Nikt o tém nie wątpi, że rozum człowiekowi a rozumowi nauka i światło jest potrzebne; i o tém nikt nie wątpi, że każdy człowiek do swego zawodu usposobić się powinien a nawet musi, jeżeli w tym zawodzie skutecznie ma działać. O jedném gospodarstwie wiejskiem zupełnie inne zdanie panuje u nas; niemal wszyscy są przekonani, że dosyć urodzić się na wsi, aby na wsi gospodarować. Prawda, że z książek gospodarować nie można, ale można się z nich przynajmniéj tego nauczyć, że równie nie można a przynajmniéj nie należy gospodarować na los szczęścia, wedle zwyczaju i nawyknienia. Niechno się każdy około siebie oglądnie a zobaczy, ile rokrocznie upada gospodarzy wiejskich, dziedziców i dzierżawców! Z kądże to pochodzi? Może ich zła dola prześladuje? Co do niektórych być to może, ale pewna jest, że większa liczba ginie dla nieumiejętności gospodarowania. Zasłużony w zawodzie wiejskiego gospodarstwa a szczególniéj w zawodzie techniki gospodarskiéj mąż ś. p. Adam Kasparowski, piérwszy wystąpił z *Tygodnikiem rolniczo-przemysławym*; ci, co znają ważność pism czasowych, a w szczególności gospodarskich, zapewne zjawisko to powitali z radością wynikającą z nadziei: że *Tygodnik rolniczo-przemysłowy* nie jednego gospodarza z uśpienia obudzi, nie jednemu da powód do nowych pomysłów, nie jednemu rozleglejsze widoki otworzy. Téj pociechy nie doczekał się gorliwy ś. p. wydawca *Tygodnika*! Znalazł się nowy przedsiębierca i dzięki Bogu, *Tygodnik* jeszcze nie upadł! nie upadł, bo stały w swojém przedsięwzięciu p. Kochański trwa w niém pokąd może, ale *Tygodnik* upadnie, bo i p. Kochański nad swoję możność robić nie będzie. Mniejsza o redaktora, ale szkoda pisma! szkoda, bo jest jedynem w całéj prowincyi, bo nastręcza jedynę sposobność gospodarzom wiejskim porozumiewać się w celach gospodarskich, udzielać sobie wzajemnie rad. Damyż *Tygodnikowi* upaść?! Zechcemyż się narazić na to, by o nas mówiono, że ani jednego pisma gospodarskiego czytać nie chcieliśmy? a wątpię, aby kto chciał twierdzić, żeśmy go dla tego nie chcieli czytać, bo już

wszystko wiémy i umiémy, owszem każdy powié, że nic wiedzieć, niczego nauczyć się nie chcemy. Można wprawdzie winę na *Tygodnik* złożyć i powiedzieć, że nie warto go czytać, ale to będzie tylko wybieg i nieusprawiedliwi nas, ani przed własném sumieniem, ani przed czyniącémi nam wyrzuty niedbalstwa o postęp umysłowy. Każdy zapyta: Dla czegoż *Tygodnika* czytać nie warto? Odpowiémy mu, bo jest mierny, bo nic ciekawego, pożytecznego nie mieści wsobie. A dla czegoż, rzecze pytający, panowie gospodarze nie dosyłacie lepszych artykułów redaktorowi? Własne wasze doświadczenia będą dla drugich nauczające, bo nie każdy ma sposobność sam wszystkiego doświadczać. Roczniki sławnego Wojciecha Thaera, prawie z samych artykułow przez praktycznych gospodarzy napisanych składają się, dla czegoż *Tygodnik* nie może się składać z takichże samych artykułów? Czy tylko panowie gospodarze unikając wszelkiéj sposobności do natężenia myśli, nie unikają *Tygodnika*, aby im téj nie nastręczał? Powiémy, że *Tygodnik* jest za drogi, pytający zarzuci: jakże ma być tańszym, kiedy mała liczba zaprenumerowanych egzemplarzy, nie pokrywa kosztow druku? A może jeszcze doda: wszak pismo tak ściśle z zawodem gospodarza połączone, nie może być za drogiém, kiedy z pocztą nad 11 złr. m. k. rocznie nie kosztuje. Chociaż nie wziąłem pióra do ręki, aby w sprawie *Tygodnika*, ale raczéj w sprawie gospodarzy pisac, muszę przecież twierdzić, że *Tygodnik* nawet taki, jaki teraz jest, byleby go z uwagą odczytywano, nie będzie dla czytającego bez korzyści. Zawiera on artykuły oryginalne, zawiera wiadomości z pism zagranicznych, nastręcza nam zatém sposobność uczenia się od własnych i obcych, a przynajmniej zastanawiania się nad zdaniami innych, a to już jest wiele, bo, bylebyśmy myślić zaczęli, dokażemy wszystkiego. Już ma *Tygodnik* chlubne świadectwo praktycznego gospodarza, który nie tylko jego stronnikiem nigdy nie był, ale owszem sam przyznaje, że naukę książkową co do gospodarstwa wiejskiego miał za nic. Niechno *Tygodnik* więcéj znajdzie czytelników a i więcej świadectw mu przybędzie. Ale na co miałbym się dłużéj rozpisywać? Nie wątpię i wątpić nie mogę, że szanowni nasi gospodarze wszyscy bez wyjątku od Nowego Roku zaprenumerują *Tygodnik*, a skoro się to stanie, pewny jestem, że redakcyja *Tygodnika* mając potrzebny do swego przedsięwzięcia fundusz, postara się nietylko o piękniejsze wydanie pisma, ale poszuka więcej spółpracowników, będzie trzymała więcéj pism zagranicznych, będzie korespondowała z najbieglejszymi gospodarzami w kraju i za granicą, słowem: będzie się starała pismo swoje coraz dokładniejszém, bardziéj nauczającém, doskonalszém zrobić. Oby się z-iściły moje i wszystkich postęp gospodarstwa kochających nadzieje! *Z. B.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 43. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skreślony przez Kazimiérza Józefa Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Odpowiedź na uwagi nad paszeniem bydła zieloną koniczyną, przez pana Engla. 3) O utrzymaniu owiec latem i zimą na stajni. 4) O gorzelniach i ziemniakach. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe: *a*) O jedwabnictwie w Przeworsku. *b*) Fabrykacyja *sago* kartoflanego.

Królewska biblijoteka w Paryżu. Królowie francuzcy piérwszéj i drugiéj dynastyi, nie mieli takich zbiorów książek, jakie my teraz biblijotekami nazywamy. Dopiero Ludwik święty miał zbiór rękopismów, które ze Wschodu z sobą przywiózł, ale te po jego śmierci w różne ręce przeszły. Biblijoteka króla Jana składa się tylko z dziesięciu do dwudziestu książek. Jego następca Karol V. rozkrzewiający nauki, pomnożył ten zbiór aż do 900 tomów, które w zamku Louvre w *Tour de la librairie* ustawić kazał. Gillet-Malet, biblijotekarz jego, ułożył w roku 1373 spis tych książek, który aż do naszych przetrwał czasów. Biblijoteka ta była obok biblijoteki Sorbońskiéj założonéj przez Ludwika św. i zawierającéj w r. 1290 więcej niż 1000 tomów, niezawodnie najznaczniejszą, jaką się wtedy Paryż mógł poszczycić. Po śmierci Karola V. część biblijoteki jego zmniejszyła się tak daleco, że w r. 1423 pomimo, że ją nowemi uposażono książkami, tylko 858 tomów liczyła. Książę Bedfort zakupił ją i zawiózł do Anglii. Ludwik XI. zebrał w jednę całość rozrzucone po różnych stolicach królewskich książki i pomnożył ten zbiór nowémi dziełami. Podobnież Ludwik XII. i Karol VIII. znacznie powiększyli te piérwsze zbiory biblijoteki. Piérwszy kazał ją przenieść do Blois, zkąd ją znowu Franciszek I. do Fontainebleau przeprowadził, uposażywszy ją licznémi greckiémi i wschodniémi rękopisy. Henryk IV. przeniosł w roku 1594 tę biblijotekę do *College de Clermont* w Paryżu i pomnożył ją zbiorem rękopismów po Katarzynie Medici w liczbie 800 w różnych językach, mianowicie: hebrajskim, greckim, łacińskim, arabskim, francuzkim i włoskim. Ludwik XIII. sprowadził znaczną liczbę wschodnich manuskryptów i wydał w roku 1617 ustawę, która na każdego, któryby książkę drukował lub w handel księgarski puszczał, wkładała obowiązek złożenia dwóch egzemplarzy w królewskiéj biblijotece. Pod koniec panowania tego króla, wzrosła ta biblijoteka do 16,746 tomów. Za Ludwika XIV. powiększyła się znacznie przez zakupno Colberta, który kilka biblijotek prywatnych z królewską połączył. W r. 1684 liczyła 10,542 rękopisów i około 40,000 tomów drukowanych książek, w któréjto liczbie ryciny i mapy nie były objęte. Louvais idąc za przykładem Colberta, wysyłał uczonych na podróże, celem zakupywania książek dla biblijoteki, i dał oraz ambasadorom przy dworach zagranicznych polecenie, aby się starali o rzadkie książki i kosztowne rękopisy. Ponowił także w r. 1689 ustawę, na mocy któréj każden księgarz obowiązany był złożyć w biblijotece królewskiéj dwa egzemplarze dzieła, które własnym kosztem nakładał.

Potwór. Ostatniémi czasy płynął na okręcie przez morze atlantyckie potwór do Europy, a najnowszémi dniami mocno poraniony przybył do Berlina. Nie jestto morski wąż, ale — olbrzymia Gazeta, któréj kolumny w zdłuż z sobą zestawione, przechodziłyby wszelką bajeczną długość węża morskiego! To amerykańskie monstrum ujrzało świat d. 15. lipca r. b. w Bostonie, nosi nazwisko: *Quadrupel Boston Nation*, i to miano tak wielkiémi wyciśnięte czcionkami, że sam ten tytuł zająłby czwartą część któréjkolwiek europejskiéj gazety. Osmdziesiąt kwadratowych stóp ścisłego druku zawiera to pismo, i to nie jest bynajmniéj przesadą, jeźli powiémy, że zważywszy teraźniejszy druk Anglików i Francuzów, pięć miernych tomów w tém piśmie da się pomieścić. Jakoż zdaje się, że ten potwór prócz polityki, połknął całémi tomami także romanse i historyczne dzieła i mieści je w swoich jelitach z 96 kolumn. Mówimy, zdaje się, gdyż trudno było się odważyć, na wzór niektórych jenerałów rozścielających swoje mapy

na podłodze, rozwinąć te olbrzymie karty; poprzestaliśmy więc tylko na odczytaniu kilku ogólnych rubryk i wątpimy bardzo, aby się znalazł taki czytelnik, któryby taką gazetę do końca przeczytał.

Święto zaduszne u Indyjanów w Ameryce. Co dziesięć lat obchodzą pierwotni mieszkańcy Ameryki szczególniejszą, w starych i nowszych czasach nieznaną ceremoniję, którą świętem umarłych, czyli świętem duchów nazywają. Ceremonija ta odbywa się w ten sposób, ze wszystkich tych, którzy w tych dziesięciu latach pomarli, wykopują z ziemi, zbierając także kości i prochy dawniéj pogrzebanych. Z temi resztkami zwłoków idą przyjaciele zmarłego do domu, gdzie o ich czynach i świetnych przymiotach z uwielbieniem opowiadają.

Sprzedaż puścizny po pannie Lenormand, odbyła się niedawno w Paryżu w jéj własnym domu. Przy każdéj okoliczności lubią Francuzi wystawę i wrażenie teatralne. Jakoż w wielkiéj sali, gdzie się licytacyja toczyła, zawieszono w głębi portret zmarłéj wieszczki w całéj wielkości w złotéj ramie, przysłoniętéj po brzegach krepą i ubranéj w liście wawrzynu. Pomiędzy innémi sprzedano za 4,750 franków miniaturę cesarzowéj Józefiny, pęzla Izabeya, podarek małżonki Napoleona, który panna Lenormand z własnych rąk właścicielki otrzymała. Między opieczętowanemi papiérami, mają się znajdować własnoręczne listy członków rodziny Napoleona znakomitych osób z epoki cesarstwa, jakoteż najpiękniejszych kobiet z ostatnich czterdziestu lat. Spekulacyja księgarska, czyli téż legitymistowska, wydała właśnie z druku dzieło, pod tytułem: *Ostatnie proroctwa panny Lenormand*, w których jest mowa o losach Francyi, że dawna dynastyja znów wróci do tronu, że dynastyja lipcowa upadnie, i tym podobne *pia desideria* legitymistów.

Rywalki. Spór o etykietę w Hiszpanii niedawno tak głośny po dziennikach, umilkł w téj chwili, ale za to na nowéj scenie etykiety, wystąpiły dwie sławne tancerki Fanny Elsler i Cerito. Perrot, który wrócił niedawno z Londynu, okryty złotémi wawrzynami, które jak wiadomo, na téj bujnéj ziemi najobficiéj kwitną, opowiada o tém zdarzeniu co następuje: Fanny Elsler i Fanny Cerito, oddychały już przez 6 miesięcy jednem i tém samém powietrzem w Londynie, jednak ich rywalizujące nóżki nie spotkały się ani razu na drodze teatralnego popisu, obie unikały troskliwie tego zejścia niebezpiecznego. Przecież raz zdarzyło się, że miały obok siebie pirouetować. Przy próbie z baletu *Echos*, pan Perrot odgrywając rolę mistrza ceremonii, sprowadził damy ku sobie, które się wzajemnie bardzo nizkim powitały ukłonem. Lecz zaledwie obie stanęły do tańca, już przyszło do sporu. Trzeba wiedzieć, że przy *pas de deux* zaszczyt zaczęcia tańcu należy téj tancerce, która jest niższą w swojéj sztuce. Rozumié się, że ani Elsler, ani Cerito tego zaszczytu dostąpić nie chciała, piérwsza upojona hołdami Amerykanów nie chciała zstąpić z tronu—swojéj wielkości, druga lubo tylko w starym znana świecie, nie miała chęci polubienicy nowego świata przyznać piérwszeństwa. Cały balet zatrwożył się i oczekiwał w niemém milczeniu rozwiązania téj niebezpiecznéj dla świata katastrofy. Śród powszechnego za kulisami zamięszania, podaje Włoszka myśl, aby tę sprawę zdać na wyrok losu, kładąc w kapelusz białą i czerwoną różę. A tak znowu groziło światu niebezpieczeństwo, iż owa walka między czerwoną a białą różą w Anglii, odżyje na powrót z całą zaciętością. Na czole Perrota wystąpiły już poty śmiertelne, lecz — o sława ci szlachetna dawczyni pokoju, sława ci kobiecy Ludwiku Filipie, przebiegły Tallejrandzie wszystkich tancerek — Fanny Elsler zwraca się ku panu Perrot z uśmiéchem, w którym się cała jéj przewaga malowała i rzecze z powagą. (Słowa te zachowa księga dziejów, jak niejedno słowo Napoleona): »Przyjacielu, ja piérwsza wystąpię, widzę zaprawdę, że każden początek jest trudny, nie chcę, aby o mnie mówiono, iż się przelękłam trudności.« Cerito zagryzła usta, już zapóźno było odstrzelić się tém słowem: »Fanny Elsler, starszéj odemnie o lat tyle ustąpić piérwszeństwa, nakazuje mi jako młodszéj, samo już uszanowanie.« Te słowa zraniłyby ją były nieochybnie, gdyż nie jedna kobiéta wolałaby raczéj, aby ją posądzono o zadanie trucizny, niż aby jéj prawdziwą metrykę pokazano! Podziękujmyż Bogu, że pokój europejski i tą razą został nienaruszony.

Fidibus. O początku tego nazwiska daje moralno-satyryczne pismo tygodniowe Eberta z r. 1770 następujące wyjaśnienie: Był czas, kiedy studentom nie było wolno fajki palić, mieli więc tym celem tajemne schadzki. *Hospes* tygodniowy czyli gospodarz, u którego się schadzka odbyć miała, rozsełał kartę zapraszającą w łacińskim języku po studentach, ci którzy przyjść chcieli pisali na téj karcie imię swoje zmyślone, takie, pod jakiémi ten lub ów student w towarzystwie koleżeńskiém fajkarzy był znany. Zaproszenie temi brzmiało słowy:

F I D. I B U S.
S. D. N. H.
Hodie h. VII. a. i. m. m.
H. N. et c. v. a. s.

Co miało znaczyć:

Fidelibus Fratribus
Salutem dicit N. hospes
Hodie hora septima apparebitis in museo meo
Herba Nicotiana et cerevisia abunde vobis satisfaciam.

Co spolszczywszy znaczy: Wiernych braci pozdrawia gospodarz N. Dziś wieczorem o godzinie 7méj zejdziecie się w mojém muzeum. Zielem Nikota (piérwszy, który przywiózł tytoń) i piwem uraczę was obficie. Gdy się studenci zeszli stanąwszy kołem, zapalili swoje fajki tą zapraszającą kartą, którą nazwali *Fidibus*, od początkowych skróconych na niéj wyrazów. Nazwisko to nabrało późniéj obszerniejszego znaczenia, i co tylko do zapalania fajki służy, nazywają teraz: *Fidibus*.

Akuszerka przeszkodą adwokatowi. Niedawno przed sądem w Paryżu zapozwał adwokat właściciela domu, u którego mieszkanie wynajmował, i żądał zerwania układu najmu i wynagrodzenia szkody. Całą winą właściciela domu było to, że właśnie pod mieszkaniem adwokata wynajął dla akuszerki pokoje. Stanąwszy przed sądem, bronił się właściciel domu tém, że akuszerka jest bardzo potrzebna i uprzywilejowana osoba. Na co adwokat odpowiedział: »Nie przeczę, i dopuszczam, że sąsiedztwo akuszerki nie szkodzi kowalowi, cieśli, krawcowi, ale co do adwokata, rzecz się ma inaczej, gdyż każda wchodząca do mnie klijentka ściąga na siebie podejrzenie, gdy publiczność czyta napis pod mojémi oknami: »Tu mieszka akuszerka.« — Sąd uznał układ najmu za zerwany i skazał właściciela na zapłatę sto franków. Jestto wielka niesprawiedliwość, gdyż nie masz ustawy, aby akuszerce wraz z adwokatem w jednym domu mieszkać nie było wolno.

Redaktor Jan Nep. Kaminski. — Nakladem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.